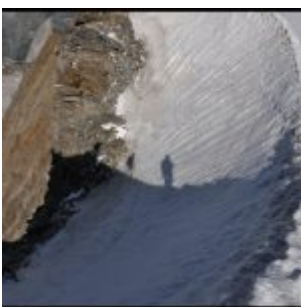


Stecknadelhorn (4241 m) – z kim jeździć w góry?

Sierpień 2019. Po [zdobyciu głównego celu](#) kierujemy się na inne z odchodzących od góry skalnych ramion, mianowicie to, które zawiera szczyt zwany Stecknadelhorn. Przechodzimy skalną wieżyczkę, za nią pod naszymi nogami śnieżna grań, potem nieco łatwej wspinaczki skalnej i raz dwa zdobywamy szczyt o wysokości 4241 m. Następnie schodzimy na drugą stronę, cały czas z asekuracją lotną. Punkty zakładam coraz rzadziej i nikt nie ma do mnie o to pretensji. Przyzwyczajamy się do tych trudności, skała jest sucha, a ekspozycja nie robi na nas wrażenia. Jedynie wysokość coraz bardziej daje o sobie odczuć. Mnie wierci w brzuchu i nie wiem kiedy nastąpi tąpnięcie. A nie chciałbym w takim miejscu wysuwać się z upręży i wyprawiać gównianych akrobacji. W górach zawsze istnieje pewne ryzyko wypadku, lecz świadomość, że mieliby mnie odnaleźć leżącego z opuszczonymi gaciami to już jest coś, co wykracza poza poziom ryzyka akceptowalnego.



Nasze cienie na Nadelgrat



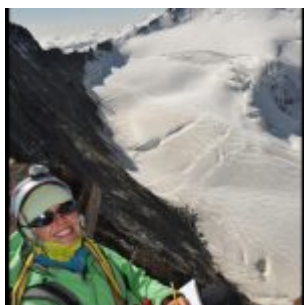
Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



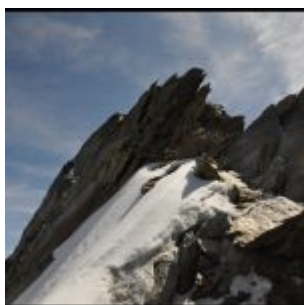
Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłostawa bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Dlatego pokonujemy jeszcze tylko kawałek grani, a jeszcze przed Hohberghorn (4219 m) decydujemy się zawrócić. Co ważne – jednomyślnie, bez żadnych dyskusji. I znów przechodzimy tę samą grań, choć w drugą stronę. Wchodzimy na Stecknadelhorn raz jeszcze, schodzimy z drugiej strony i tu podejmuję to ryzyko, o którym wspomniałem. W przepaść poleciał prawdziwy potwór i w dalszą drogę ruszam 3 kg lżejszy. „Przelatujemy” żandarma, już prawie bez zakładania punktów, bo jak wspomniałem wyczuliśmy ten teren i nie było żadnych niepewnych ruchów i znów jesteśmy przy śnieżnym trawersie łączącym dwie granie schodzące z Nadelhorna. Wyczekujemy tu na przejście ekipy, która bardzo uważnie się asekuje. Stoimy bezczynnie jakiś czas, a gdy trasa się zwalnia, przechodzimy jakby nigdy nic po wydeptanej ścieżce. Trawers jak trawers, bez zagrożenia spadającymi kamieniami, bez oblodzeń, w dodatku krótki.

W zejściu granią Windgrat czuję się niezwykle słabo. Dochodzi nawet do sytuacji, w której zirytowana tempem zejścia Aga krzyczy coś do mnie i pogania. Kiedy się odwracam, widzi moją twarz i już wie o co chodzi.

– Co mówiłaś?

– Nic nic...

Zataczając się schodzę na przełęcz Windjoch, przed nami w zasięgu ręki Ulrichshorn (3925 m). Proponuję, żeby ktoś ze mną poszedł na ten szczyt, bo sam nie chcę (nie mam siły). Moi ukochani towarzysze łagodnie mi oznajmiają, że chyba mnie popie...liło. Nie znalazłem kontrargumentu.

Poniżej przełęczu zmieniamy kolejność, bo Aga niczym elf pomyka na dół. Ale póki jesteśmy na lodowcu, to wciąż łączy nas sznurek, więc daleko nie ucieknie. W połowie drogi przez lodowiec skręca mnie, klękam i w kolejnych skurczach żołądka wypluwam 2 różnokolorowe ślinki. I nagle w jednej chwili odzyskuję siły. Nadal osłabiony, ale już bez wyraźnych dolegliwości czuję, że mogę iść tyle ile trzeba, a nawet dłużej. Schodzimy z lodowca, rozwiązujemy się i nasz elf

pocina skalnym grzbietem do namiotu. Drugi schodzi Tomek, a na końcu ja.

Przedziwna to sprawa, że po tylu w ostatnich miesiącach alpejskich wypadach obejmujących wysokość nawet 4000 metrów i absolutnie żadnych w tym roku objawów wysokościówki tym razem tak mnie siekło. Nawet w namiocie nie miałem ochoty nic jeść i pić. Tym większa wdzięczność dla Tomka, który mnie poratował jabłkiem wniesionym tu na własnych plecach i tego jabłka mu nie zapomnę, bo było to jedyne coś, na co mój organizm się w danej chwili zgodził.

Podsumowując wypad – nie znasz dnia ani godziny, kiedy dopadnie cię choroba wysokościowa. A wtedy zmienia się punkt widzenia, bez względu na wszystko. Nagle ktoś przywiązuje ci ciężarki do nóg, rąk, do głowy i do brzucha. I zapomnij o błyskawicznych podbojach, bo to co cię wtedy czeka to droga krzyżowa. I nigdy nie wiesz, ile będzie stacji, ile razy padniesz i ile razy zdołasz się podnieść. W takich sytuacjach nieoceniona jest zgrana ekipa. Najlepiej taka, która cię zna na tyle dobrze, że potrafi określić czy i jak należy ci pomóc.

Niewątpliwie komfortowym uczuciem jest to, że możesz w 100% liczyć na swoich towarzyszy. Czy zatem nie można jeździć w góry z nieznanymi? Nie tylko można, ale nawet trzeba! Gdybym się nie wybierał na górskie podboje z zupełnie mi obcymi ludźmi, to dziś nie znałbym ani Agi, ani Tomka.

tekst: Dziku

Hoher Prijakt – rozsądek czy

Lenistwo?

02.11.2019 – Aga i Tomek wychodzą przy kiepskiej pogodzie ze schronu na pobliski szczyt. Spokojnie mogliby sobie odpuścić, bo już pierwszego dnia zrealizowaliśmy główny cel. Po co się zresztą dodatkowo męczyć, jak trzeba jeszcze zejść do auta i całą noc jechać do Polski? Tylko, że Aga przed wyjazdem po raz kolejny sięgnęła po książkę Waltera Bonattiego, a w jej głowie utkwiło pytanie:

„Kiedy decyzję o odwrocie podsuwa zdrowy rozsądek, a kiedy jest to lenistwo?”

„Kręcić się jak Dziku przed winterraumem”

O 7:15 Aga z Tomkiem, czyli połowa składu wychodzi na Hoher Prijakt (3064). Ja co najwyżej pokuśtykam na siku po [wczorajszej akcji](#), Kamila też postanawia odpocząć. Wiele z siebie wczoraj dała i może czuć satysfakcję. Tym bardziej, że był to jej pierwszy kontakt z Alpami.

Około 10:15 ogarnia mnie panika, dosłownie. Irracjonalny lęk, przekonanie, że stało się coś złego. Czarne wizje przeważały nad spokojem i zaufaniem do najbliższej ekipy, więc przez następne dwie godziny kręcę się jak porąbany. Kamila żałuje, że nie poszedłem z nimi, bo by miała święty spokój. A ja wiem, że gdybyśmy się znali choć odrobinę lepiej to przybiłaby mi czekaniem stopę do drewnianej podłogi schronu. Tak dla zasady, żebym się opamiętał i nie wiercił.

Do południa chodzę w tę i z powrotem po szlaku powłócząc kończyną. Widoczność marna, a na dodatek nie zdaję sobie sprawy, że wypatruję towarzyszy niedokładnie tam, gdzie poszli. Po 5 godzinach od ich wyjścia postanawiam zadzwonić do służb ratowniczych zupełnie świadom tego, co mogę, a nawet powinienem od nich usłyszeć. Myślę, że byłoby to coś w stylu: „weź się człowieku opanuj, zrób se herbaty, pogadaj z

koleżanką i czekaj cierpliwie". Tylko, że po niemiecku.

Zanim wybrałem numer z mgły wyszła Aga. Siadam zawstydzony na ławce w schronie i zbieram opierdziel, że nienagotowane, a przecież tyle czasu siedzieliśmy i nic nie robiliśmy, podczas gdy oni w trudnych warunkach obrócili w równo 5 godzin (niczym latem) na szczyt i z powrotem.

Panika była niepotrzebna i trzeba z tej sytuacji wyciągnąć wnioski. Przeanalizujemy zatem całe wydarzenie:

Fakty i wnioski

1. Nie byłem przygotowany psychicznie na sytuację, w której to ja jestem wyłączony z głównej akcji i czekam na kogoś. Do tej pory kojarzę zaledwie kilka podobnych wydarzeń i były to raczej wyjątkowe sytuacje.

Ad. 1 – najlepiej byłoby zachować zimną krew jak na Monte Rosa w 2011. Byłem sam na lodowcu na wysokości ok. 4200 metrów. Aga i Paweł nie wrócili, więc wziąłem aparat i czekałem, wszedłem na pobliski szczyt o wysokości ponad 4400 metrów, wypatrywałem ich i obejrzałem zachód słońca. Doszedłem do wniosku, że pewnie zeszli z drugiej strony góry i nie mieli jak wrócić, a Aga pewnie nie ma nic na karcie więc nie wysłała wiadomości. Napisałem od kolegi do Polski, żeby jej doładował telefon i wkrótce otrzymałem wiadomość, że zostali awaryjnie w schronisku na wysokości ok. 2800 metrów. Na drugi dzień podejda popękany lodowcem do mnie. Ich strata, ja się wyśpię. Grunt to spokój.

2. Patrzyłem na górę, która z mojej perspektywy wyglądała tak, jak na zdjęciu na górze wpisu. Może i opisana jako łatwa, ale... pada wilgotny śnieg, skała jest mokra, a ja zostałem z informacją, że pójda od prawej strony przez Niederer Prijakt, a ta grań, która mi się ukazuje między chmurami wygląda nieciekawie.

Ad. 2 – Poszli nie od prawej, tylko od lewej strony,

bezpośrednio na Hoher Prijakt. Nie wiedziałem o tym, ale mogłem założyć, że mam do czynienia z bardzo zgraną i odpowiedzialną parą. Jeżeli trasa budziłaby wątpliwości – zawróciłiby.

3. Żadne z nich nie ma sprawnego telefonu.

Ad.3 – Tego się akurat nie da wytłumaczyć. Od przyszłego roku chciałbym, żeby każdy z nas posiadał Samsung Solid. Używany kosztuje od 50 do 150 zł i jest to już model z GPS, potrafiący wskazać wysokość. Działa zalany wodą, działa nawet zamrożony w kostce lodu. Bateria na czuwaniu trzyma tygodniami. Smartfony uważam w górach za zło, ich zalety są 10 krotnie przyćmione przez wady.

4. Nie ustaliliśmy godziny alarmowej.

Ad. 4 – To jest również coś, co mogło pomóc. Godzina alarmowa powinna być znana.

Niesprawna noga i świadomość bezradności na pewno w tym wszystkim nie pomagały, no ale cóż, nie ma co rozpaczać – sezon 2019 zakończony w niezłym stylu i teraz trzeba się przygotowywać na kolejny. Jest jeszcze tyle gór do zdobycia...



Nasze cienie na Nadelgrat



Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłosława bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Rotspitzen i pierwsze kuku w górach

Powyżej na zdjęciu spoglądam w kierunku Leibnitzer Rotspitzen – „a może by tak jeszcze dziś...”

Na Staniskascharte schodzę powoli, ześlizgując się z kamienia na kamień. W pewnym momencie widzę jak Dziku gada coś z Agą, a zaraz po tym goni w kierunku bez szlaku. Myślę sobie „o co chodzi?”... wkrótce Aga wyjaśnia, że poszedł na drugi szczyt. Pokręciłam głową z niedowierzaniem. No tak... śmieję się w duchu... Dziku Maniak – dziczyzna maniakałna, tego to na pewno nie da się wyleczyć.

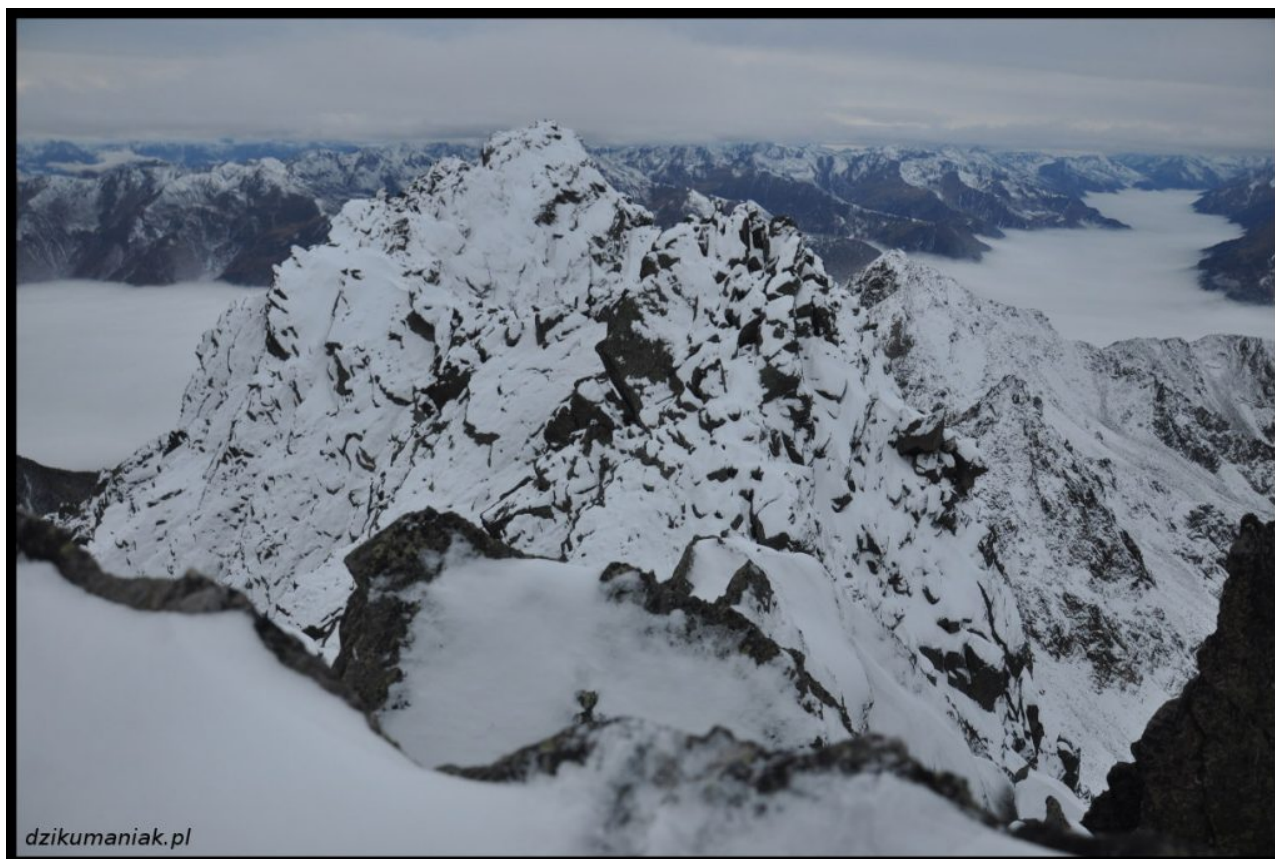
Kamila

Po zejściu ze szczytu Hochschober (3240) na przełęcz Staniskascharte (2930) postanawiam wejść jeszcze na pobliską górę. To Leibnitzer Rotspitzen – postrzępiony grzebień z kilkoma wierzchołkami. Najbliżej mnie znajduje się akurat ten najwyższy z nich – 3101 m. Zakładam, że jestem w stanie do

niego dotrzeć przed zmrokiem. Aga próbuje argumentować, że (delikatnie mówiąc) nie jest to najlepszy pomysł. Jednak nie jestem w stanie odpuścić. Wciąż mam w głowie ostatni wypad do Szwajcarii, gdzie w zejściu byłem tak słaby, że odpuściłem pobliski Ulrichshorn (3925m), a był on tak kusząco blisko. Teraz czuję się świetnie, więc działałam.

Do góry posuwam się szybko, bez żadnych odpoczynków, przystanków. Jedynie, kiedy muszę w stromej skale wyszukać pod świeżym puchem chwytów wymaga to chwili zatrzymania. Zanurzam głęboko dłoń i macam gładką skałę, gdy tylko łapię za chwyt podciągam się i przeskakuję trudność. Nie kontroluję czasu, nie oglądam się na nikogo, idę wyżej i wyżej. Czasem dostrzegam kopczyki z kamieni i dodaje to otuchy. Czasem dostrzegam je zupełnie gdzieś poza zasięgiem i to odbiera pewności siebie. Ale to normalne w górach, ta zmiana nastrojów od „jest super” do „jest do bani” – zmiany drastyczne i szybkie. Wkrótce się przekonam jak bardzo.

Od przełęczy do szczytu prowadzę pewien dialog, a właściwie modlitwę. Dziękuję, że mogę być tu i teraz i nie czuję się sam. Jest pierwszego listopada i żałuję, że w pośpiechu wypakowałem wszystkie świece w schronie, bo jedną z nich chciałem zapalić na szczycie. Zamiast tego, gdy łapię się przewieszanej na wschodnią stronę skały i widzę, że wyżej nic już nie ma – całuję ją. Całuję zimną i wilgotną skałę i czuję to na ustach aż do zejścia na przełęcz.



Na wschodnim wierzchołku. Dalej nie pójdę. Zaraz będzie ciemno.

A zejście jak zwykle było bardziej niebezpieczne. Gdzie mogę to zsuwam się z boczem na tyłku, byle szybko opuścić ten niepewny teren i znaleźć się na oznakowanym szlaku. Już jestem z powrotem na przełęczy, teraz w dół po skale, trochę niepewnie, z poślizgami, ale bez upadku. Jestem pod skałą i chwytam za zostawione w tym miejscu kijki. Przede mną „bezpieczny” szlak po morenie i przysypanych śniegiem skałach. Przeszedłem może 50 metrów i slizga mi się noga na skale. Uderzam kolaniem w wystający kamień, padam głową w śnieg, zwijam się i głośno wyję z bólu. Wydaje mi się, że minęła minuta, ale kiedy podnoszę głowę jest już zupełnie ciemno.

Schodzimy do miejsca pozostawienia kijków. Czuję, że siła jest coraz mniej, czuję też lekkie uciśnięcie głowy. Zdejmuje kask, jest ciut lepiej. Nastawiam się na równomierny trekking, aby jak najlepiej rozłożyć energię na tym odcinku. Tomek co chwilę zagląda na szczyt i wypatruje Dzikusa. Woła. Nic. Nie dość, że dziki to jeszcze ma

*ubranie w kamuflaż i nie odróżnia się od ciemnych skał.
Zaczyna brakować światła.*

Kamila

Tekst (oprócz ramek): Dziku

Grzyby w Tyrołu

Ze względu na suszę i temperatury w Tyrołu (parokrotnie został pobity rekord najwyższej odnotowanej temperatury) sezon grzybowy rozpoczął się późno. Ale jak już się rozpoczął, to z rozmachem. Na portalu informacyjnym natrafiłem na zdjęcie młodych policjantek i policjanta przy radiowozie i skonfiskowanych koszach wypełnionych grzybami. W sumie – 60 kg borowików i innych przysmaków. Grzybiarzy wyspali miejscowi, którzy widzieli te zbory w bagażniku auta i podeszali namiary na policję.

Na jakiej podstawie?

Przedstawię kilka wybranych zasad, które w Polsce mogą wydawać się śmieszne, lecz gdzie indziej takie są i należy ich przestrzegać. W Tyrołu przyjezdny może:

1. Zbierać grzyby jedynie między godziną 7 a 19.
- 2. Uzbierać maksymalnie 2 kg grzybów dziennie.**
3. Zbierać grzyby jedynie do koszyka (nie mogą to być reklamówki ani wiaderka, ponieważ uniemożliwiają rozsiewanie zarodników).

Karą za nieprzestrzeganie podanych zasad jest mandat w wysokości 200 €.

Mieliśmy ubaw, że ta konfiskata grzybów i oddanie ich do domu spokojnej starości była najpoważniejszą akcją tyrolskiej policji od lat, porównywalną z likwidacją sporej plantacji koki w Kolumbii. Nie minął jednak nawet tydzień kiedy padł rekord wszech czasów. I znów tyrolska policja wykazała się niezwykłym sprytem, bo w tym przypadku oprócz tego, że znaleźli w aucie 38 kg grzybów, to dodatkowo sprawdzili, gdzie grzybiarze nocowali przez ostatnie 3 dni i po przeszukaniu pomieszczeń wykryto kolejne pakunki z grzybami. Rezultat – 1500 € kary i **186 kg** grzybów, które trafiły do placówek pomocy społecznej.

Ambitni Włosi

W obydwóch przypadkach ekipy zbieraczy pochodziły z Włoch. Podkreślam – nie z Polski. Zresztą nie znam nikogo, kto by jechał w Alpy po to, żeby grzyby zbierać. Warto jednak wiedzieć co i jak, bo a nuż idąc szlakiem na jakiś zacny szczyt natrafimy na grupę podgrzybków . Nie pozostaje nic innego, jak do listy sprzętu dopisać... koszyk!

tekst: Dziku

PS. te „przestępstwa” związane z grzybobraniem jednak nie są jedynymi sprawami, z jakimi mierzy się tyrolska policja. W tym samym czasie doszło do kradzieży krowich dzwonek. Sprawców jeszcze nie ujęto, ale trzymam kciuki, by i tym razem nie byli to Polacy.

Nadelhorn (4327 m) czyli jak

wejść na czterotysięcznik – krótki poradnik

Krótki poradnik

Przyjeżdżamy do miejscowości Saas-Fee i parkujemy na dużym, piętrowym parkingu zaraz na początku miejscowości. Idziemy przez miasteczko aż do kościoła, za którym skręcamy w prawo na szlak do schroniska. Szlakiem idziemy od 4 do 5 godzin (można skorzystać z kolejki na Hannig i skrócić jeszcze ten czas o godzinę) i docieramy do schroniska Mischabelhütte (3340 m).

Następnego dnia (niekoniecznie wczesnym rankiem) wędrujemy stromo pod górę i docieramy do lodowca. Tu zakładamy raki i podążamy wydeptanym śladem przez łatwy lodowiec aż docieramy do przełęczy Windjoch (3850 m). Dojście tutaj zajmuje mniej jak 2 godziny. Skręcamy w lewo i idąc granią Windgrat docieramy do skał przy wierzchołku. Tutaj, po krótkiej i łatwej wspinaczce stajemy przy krzyżu na szczycie Nadelhorn o wysokości 4327 m n.p.m. Wejście od schroniska na szczyt zajmuje około 4 godzin. Zejście tą samą drogą zajmuje jeszcze mniej czasu i nie przysparza żadnych dodatkowych trudności.

Będąc na przełęczy Windjoch warto pokusić się o pokonanie zaledwie kilkudziesięciu metrów wysokości i dodatkowo stanąć na szczycie Ulrichshorn (3925 m).



Nasze cienie na Nadelgrat



Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłosława bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Proste, prawda?

Powyższy opis jest zgrubny lecz prawdziwy i można czytając go dojść do wniosku, że Nadelhorn to kolejny „jeden z najłatwiejszych czterotysięczników”. Rzeczywiście poszło nam z nim „łatwo”, przynajmniej jak na cel tej rangi. Ale co to dokładniej oznacza? Jeśli ktoś jest ciekaw to zapraszam do przeczytania poniższej relacji.

Dzień 1

Wyruszamy z parkingu z pełnym ekwipunkiem, czyli jedzenie na parę dni, namiot, śpiwór, materac itp. Plecaki mimo to nie przygniatają, właściwie niespecjalnie nawet przeszkadzają po ostatnich modyfikacjach listy. Z pakowaniem jest trochę tak jak z chodzeniem z koszykiem po supermarkecie. Jest masa produktów, które wydają nam się tak cholernie potrzebne, a przecież wpadliśmy tylko po musli i nic więcej.

Co do trasy prowadzącej do schroniska Mischabelhütte (3340 m) – nie jest to standardowy szlak, jaki znamy z polskich gór. Początkowo prowadzi zakosami ścieżką, potem przechodzi w niemal wspinaczkę. Mocno eksponowany teren, w najniebezpieczniejszych miejscach zaopatrzony w stalowe liny, klamry, a nawet drabiny. Już przy wejściu na niego tabliczka ostrzega, że jest to trasa tylko dla doświadczonych górolazów bez lęku wysokości.

Pokonanie 1600 m przewyższenia dzielących schronisko od parkingu zajmuje nam zaledwie 4,5 h (z pełnym wyposażeniem biwakowym!). Odczuwamy jednak spore zmęczenie i po rozbiciu namiotu idziemy natychmiast spać, gdyż wszyscy troje potrzebujemy regeneracji. Pozwolę sobie przypomnieć, że za nami jest całonocna podróż samochodem.

Wielkie brawa dla Agi, która napędzała tempo udowadniając, że ostatnie treningi przynoszą skutek. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak zorientowanej na szybkość.

Dzień 2

Z wysokości, na której znajduje się schronisko wychodzimy o godzinie 5-tej rano. Połowa drogi to stroma, skalna grań, a następnie wchodzimy związani na lodowiec. Po drodze jest jedynie parę szczelin, które mogą stworzyć zagrożenie. Początkowo lodowiec jest płaski, a następnie po śnieżno lodowym stoku podchodzimy do góry na przełęcz. Po 1h45' stajemy na przełęczu Windjoch. Jeśli ktoś myśli, że wstrzymywanie się z sikaniem do przełęczu z wiatrem w nazwie jest dobrym pomysłem to zapewniam – nie jest. Koniec końców, próbując jednocześnie odwrócić się od szlaku i ogarnąć sika, którego wiatr zawijał o 180 stopni, panikuję i ostatni sik leci w spodnie. Takie rzeczy potrafią zburzyć motywację.

Granią podążamy po wydeptanym śladzie i szybko zdobywamy wysokość. Jest jednak okropnie wietrznie i zimno. W końcu Windgrat – Wietrzna Grań. Wyciągam cieplejsze rękawice, ponieważ palce u rąk mam już okropnie zmarznięte. Podobnie jest z palcami u nóg, ale te niestety wkrótce pełnią już zupełnie pasywną rolę, gdyż czucia nie potrafię w nich odzyskać. Mam to gdzieś tym razem – zobaczę później co się stanie. Albo się wraz ze wschodzącym słońcem rozgrzeją, albo odmrożą na amen. W obydwóch przypadkach będę raczej żył, w końcu to nie jest zima w Karakorum.

Lodowaty wiatr smaga po twarzy, zamraża skórę i tamuje oddech.

Zakładam maskę na twarz i jest o wiele lepiej. Przed nami para wspinaczy zawraca i mija nas bez słowa. A my idziemy jak jeden organizm, prawdziwy Dream Team – Dziku, Aga i Tomek. W jednym z trudniejszych miejsc stajemy przyblokowani przez grupę – 3 niemieckojęzyczne dziewczyny z przewodnikiem. Do tej pory szedłem pierwszy i decyduję się czekać. Trwa to jednak bardzo długo i Aga zmienia kolejność w rozgrywce. Idzie jako pierwsza, sprytnie wymija przewodnika z grupą i wkrótce znów możemy piąć się do góry. W tym układzie raz dwa stajemy na wierzchołku. Jest małutki, pomieści zaledwie 2-3 osoby. Cieszymy się, robimy zdjęcia i schodzimy nieco poniżej. Tym bardziej, że właśnie dotarła do nas wspomniana grupa.

Pytam przewodnika – ist das Gipfel? Is it Summit?

On odpowiada – tak, to jest Szczyt.

Nachyla się do mojej naszywki na kurtce i pyta – Dziku?

– Tak – odpowiadam – Dziku, a pan skąd?

– Zakopane!

[Część druga TUTAJ](#)

PS. Lista wszystkich alpejskich 4-tysięczników [TUTAJ](#).

Piz Morteratsch – 3751 m n.p.m.

„Przygoda, z nieodzownym ryzykiem i dziką przestrzenią, stanowi tęsknotę głęboko wpisaną w duszę mężczyzny. Męskie serce potrzebuje miejsca, w którym nic nie jest prefabrykowane, wzorcowe, podgrzane w mikrofalach. Gdzie nie ma terminów, telefonów komórkowych ani spotkań zarządu.

Gdzie jest miejsce dla duszy.”

John Eldredge – Dzikie serce



Nasze cienie na Nadelgrat



Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



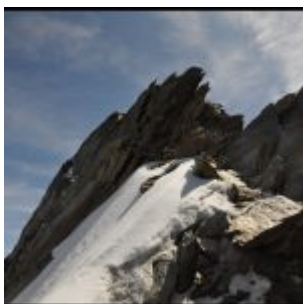
Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłostawa bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

5 lipca 2019 – wyjście w środku nocy miało zagwarantować sukces i zdobycie szczytu Piz Berniny. Niestety okazało się kolejnym, trzecim już falstartem. Jeszcze przed podejściem na przełęcz, zaraz za trawersem, Aga sygnalizuje fatalne samopoczucie. Wygląda, jakby miała zaraz umrzeć, albo jeszcze gorzej – jakby umarła pół godziny temu. Wracamy we dwoje do namiotu, podczas gdy pozostała trójka kontynuuje próbę.

W miarę zbliżania się do namiotu Aga czuje się odrobinę lepiej i zapewnia mnie, że mogę pójść gdzieś jeśli chcę, bo ona chce się po prostu wyspać. Postanawiam zatem wejść na znajdujący

się tuż nad nami Piz Morteratsch. Do pokonania mam około 1000 mH i naprawdę niewielką odległość do przejścia. Kiedyś już raz (w 2013) zrobiłem podobną próbę dokładnie z tego samego miejsca. Zawróciłem wtedy ze śnieżnego ramienia, jakieś 40 minut od wierzchołka.

Na starcie niespecjalnie czułem się zmotywowany. Po pierwsze rozczarowanie, jeśli chodzi o główny cel, czyli Piz Berninę. Rozczarowanie nie tyle wycofam, bo powód był niepodważalny, ale całą tą formą, jaką przybrał nasz atak szczytowy. Nie byliśmy na tę trasę przygotowani i zostanie to udowodnione, ale o tym kiedy indziej. Po drugie, w namiocie zostawiłem chorą Agę. Co jak co, to nie jest osoba, która by sobie nie poradziła w takiej sytuacji. A nawet gdyby było kiedyś krytycznie, to by po prostu mi to powiedziała. No ale jednak, siedziało to z tyłu głowy. Ogólnie – nogi niosły, ale głowa ciążyła.

Jednak wraz z pokonywaną wysokością troski przemijały ustępując miejsca zdecydowaniu. Jeszcze zanim dotarłem do lodowca poczułem rytm. Niesamowity stan, w którym wszystko współgra i jest „na tak”. Wyskakuję na lodowiec i macham kończynami po śniegu tak, jak płetwami macha żółwik moich dzieci na basenie, kiedy go na maksa nakręca. Na grzbiecie ponad mną obserwuję 3 posuwające się do góry punkty. Czyli tak zupełnie sam dziś tu nie będę, to nawet dobrze.

Wydeptanymi w śniegu stopniami szybko zdobywam wysokość i chwilę potem zasuwam śnieżnym ramieniem. Przy kopule szczytowej przechodzę na drugą stronę i trawersuję lodowe masy zwisające ze wschodniej ściany. Staję przed szczeliną, wzdłuż której prowadzi ścieżka i tracę cały impet. Iść czy zawrócić? Nie wyczuwam szczególnego zagrożenia, ale ewidentnie teren przestaje być przyjazny. Rozmyślam jakiś czas, nie wiem ile – może 2 minuty, a może 2 sekundy. Finalnie decyduję, że idę dalej, bo podświadomie czuję, że ryzyko jest akceptowalne.

Za szczeliną i za trawersem zaczyna się ostatnie już, ostre

podejście na szczyt. Tu spotykam innego turystę i jest mi od tej pory znów lekko na duszy, ponieważ on też idzie sam. Zagaduje mnie:

- Where are you come from?
- Poland.
- I knew it!
- Why?
- You're here alone, so you must be from Poland!

Rozmawiamy jeszcze kilka minut, co mi jest bardzo na rękę, bo potrzebuję złapać oddech. Potem napotykam jeszcze 2 ekipy schodzące na dół i zaraz potem staję na wierzchołku. Nie czuję nic specjalnego, a spodziewałem się czegoś ekstra ze względu na to, że byłem sam, a takie doświadczenia z reguły przeżywam mocno. Na pewno poczułem satysfakcję z powodu czasu, w jakim tu wszedłem – 2h10'.

Na dół nabieram jeszcze większego rozpędu i schodzę te 1000 mH zaledwie w 1h05'. **Aga podsumowuje tempo zejścia krótko: „Rozwalisz sobie kolana”.**

„Większość ludzi trwoni siły, starając się wyeliminować ryzyko albo zmniejszyć je do wygodnych rozmiarów. Gdy to się udaje, gdy mężczyźni udaje się zabezpieczyć życie przed ryzykiem, ląduje w kokonie samoocalenia i nieustannie zastanawia się, dlaczego się dusi. (...) Tak przy okazji, można stracić duszę na długo przed śmiercią.”

John Eldredge – Dzikie serce

Dziku

A może to Yeti?

Powyżej na zdjęciu Szwajcarska część Masywu Silvretty – nie dla miśków!

2-go czerwca 2019 podczas [wejścia na Tschadinhorn](#) na wysokości powyżej 2000 m n.p.m. zauważyliśmy nietypowe ślady na śniegu. W najmniejszym stopniu nie przypominały one śladów człowieka, ani żadnego innego „normalnych” rozmiarów zwierzęcia, tzn. lisa czy świstaka. Zresztą ślady przecinały szlak w poprzek i co istotne: oprócz nas w tych dniach nikt tam nie się nie kręcił. Była to typowa przerwa między sezonami, czyli za późno na narty skiturowe, lecz za wcześnie na piesze wędrówki. Jest to okres potężnych lawin mokrego śniegu zsuwających się po stokach.

Wydarzenie to tak zakorzeniło mi się w głowie, że postanowiłem temat zgłębić.

Czy w Alpach są niedźwiedzie?

Odpowiedź na to pytanie było dla mnie pewnym zaskoczeniem, gdyż jak wiemy państwa Europy Zachodniej są państwami zamożniejszymi i bardziej rozwiniętymi od Polski. A przecież postęp i ochrona natury delikatnie mówiąc nie idą w parze. Oczywiście to, że tak zawsze było nie oznacza, że tak zawsze będzie. Albo ludzkość zacznie sama z siebie (świadomość) zmieniać podejście do środowiska, albo... zostanie do tego brutalnie przez życie zmuszona.

Patrząc na historię niedźwiedzi w Alpach, można stwierdzić, że w pewnym stopniu ta świadomość już się zmieniła. Ponieważ w latach 90-tych z pomocą człowieka nastąpiła reintrodukcja gatunku w Austrii. Wtedy to „zaimportowano” ze Słowenii 3 osobniki, które dały początek nowej populacji. Wcześniej jedyne alpejskie osobniki, które przetrwały polowania to zaledwie parę sztuk, które uchowały się w Tyrolu Południowym (Włochy). A zatem... przez 100 lat (od XIX wieku) w takich

krajach jak Austria i Szwajcaria nie było ANI JEDNEGO niedźwiedzia. Dziś populację niedźwiedzi w Alpach szacuje się na nie więcej jak 50 osobników. Dla porównania – w Karpatach ilość niedźwiedzi szacuje się na ponad 7... TYSIĘCY sztuk! (z tego 6000 na terenie Rumunii).

Konflikt interesów

Co stoi na przeszkodzie, żeby większe drapieżniki żyły sobie na tak olbrzymich i dzikich obszarach, jakim są alpejskie lasy i zbocza gór? Obserwując wydarzenia z ostatnich miesięcy największy problem mają z tym hodowcy bydła. Każdy incydent związany z odkryciem zabitej owcy ze stada jest ze szczegółami opisywany w prasie. Publikowane są również zdjęcia szczątków. Hodowcy nie chcą dużych drapieżników w „swojej” krainie. Po kilku tegorocznych incydentach z udziałem wilków i niedźwiedzi została wystosowana petycja o odstrzał tych zwierząt. I choć władze na coś takiego póki co nie pozwoliły (międzynarodowe prawa ochrony niektórych gatunków), to poparcie dla tego pomysłu jest zaskakująco wysokie.

Tak przedstawia się wynik ankiety przeprowadzonej przez portal informacyjny tirol.orf.at:



Ankieta zatytułowana „Czy powinno się zezwolić na odstrzał niedźwiedzia i wilka w Tyrolu?” z lipca

2019

Co ciekawe, w prasie opisywane są nawet przypadki tego, że wilk upolował łanię. Hmm... wilki zjadły łanię – no koszmar!

Miejscowa ludność w Tyrolu być może postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, bo zaledwie parę dni po tych wydarzeniach odnaleziono ciało 30kg wilka z uciętą głową. Raczej nie zrobił tego w zemście jeleni – mąż wspomnianej łani.

Poza granicami Tyrolu

Nie za bardzo jest co pisać o Szwajcarii, bo tam na wilki i niedźwiedzie zgody nie ma. To, że stosunkowo niedawno jeden z niedźwiedzi odważył się przejść przez granicę i stać się pierwszym osobnikiem w tym państwie po ponad 100 latach, to wg mnie zwykłe parcie na szkło z jego strony! Chciał być sławny i tyle!

A Francja? Tu można by pisać wiele, ale w smutnym tonie. W 2004-tym roku myśliwi zabili ostatniego „francuskiego” niedźwiedzia. Wilki wybito znacznie wcześniej – bo w 1930-tym. Pamiętajmy, że jest mowa o kraju o powierzchni dwa razy większej niż Polska. Dziś populacja niedźwiedzi we francuskich Pirenejach odtwarzana jest z pomocą słoweńskich osobników, ale towarzyszą temu spore bolączki. I znów chodzi o farmerów, którzy w dramatyczny sposób przedstawiają drapieżniki jako bestie. Mowa tutaj o protestach z udziałem przebierańców w maskach wilków, z paleniem stosów, transparentami o dramatycznej treści a nawet rozrzucaniem przed ratuszem owczych ciał i wylewaniu z beczek na ulicę zwierzęcej krwi.

Co ciekawe – zarówno w Austrii, jak i we Francji wypłacane jest odszkodowanie za każdą zabita przez drapieżnika owcę. W Tyrolu jest to od 347 € do 1142 € za każdą owcę. Odszkodowanie wypłacane jest bezwzględnie, nawet jeśli nie będzie można określić, z jakim drapieżnikiem mamy do czynienia (zwykle jest to określane przez przeprowadzane z urzędu testy DNA).

Wilk vs. pies

Od II Wojny Światowej w Polsce nie odnotowano ani jednego zgonu człowieka spowodowanego atakiem ze strony wilka. Wcześniejsze przypadki też budzą wiele wątpliwości. Ilu ludzi w tym samym czasie zostało zagryzionych w Polsce przez psy? Sprawdźcie, jeśli chcecie. Podpowiem, że na świecie jest to 25 tysięcy osób rocznie, dzięki temu w badaniach Międzynarodowej Organizacji Zdrowia psy zajmują trzecie miejsce na podium w kategorii zwierząt, które najbardziej zagrażają życiu człowieka. Na pierwszym miejscu jest komar.

A może gorzej jest na chronionych rezerwatami obszarach Ameryki Północnej? Tylko odrobinę, bo na całym kontynencie odnotowano przez ostatnie 100 lat 2 zgony spowodowane atakiem wilka. I powtórzę smutny fakt: psy zagryzają 25 tysięcy ludzi rocznie.

To tyle, co miałem do przekazania w temacie dużych drapieżników w Alpach.

Czy napotkane przez nas na śniegu na początku czerwca ślady były śladami niedźwiedzia? Prawdopodobieństwo jakieś jest, bo w 2002 roku to właśnie tam, w grupie Schobera zaobserwowano tego drapieżnika powyżej 2000 m n.p.m. Żałuję, że nie zrobiłem zdjęcia odcisniętych łap, można by na spokojnie dziś temat przeanalizować. A tak, mogę mieć tylko nadzieję, że jeśli to był misiek to nadal sobie gdzieś tam spaceruje i ma się dobrze.

A może to był Yeti?

Alpy po sudecku

Powyżej na zdjęciu Weissmies (4017 m) widziany z Lagginhorn (4010 m)

[70 alpejskich szczytów w dorobku!](#) Niektóre z nich powtórzone parę razy, a niektóre pozostały przede mną niezdobyte. Ale to wciąż 70 wejść, zejść, prób i przede wszystkim lekcji. Czy 70 to dużo? Otóż ta liczba mówi o jednym: o niczym. Można się więcej nauczyć zdobywając szczytów 7. Można też wejść na 140 i wciąż być niemal w tym samym miejscu co na początku. Ja jednak jestem usatysfakcjonowany miejscem, w którym się znajduję. W Alpach czuję się jak w domu, a na to na pewno miała wpływ ilość zrealizowanych wyjazdów.

Alpy po sudecku

Po kilku ostatnich wypadach w Sudety zacząłem się zastanawiać, dlaczego w Alpach działamy jak w zwolnionym tempie. Skoro mogę na podejściach utrzymywać odpowiednią prędkość w niższych górach, to dlaczego podobnie nie ma być gdzieś wyżej? Dlaczego w Sudetach pokonuję wraz z przewyższeniami [20km w 3,5h](#) a tymczasem w Alpach wleczeniemy się 1/3 tego dystansu przez pół dnia. Skoro mogę [przeszurać na biegówkach](#) 50km z kanapką, batonikiem i bez namiotu, to dlaczego w Alpach muszę na zaplanowane 20km trasy mieć zestaw garnków, reklamówkę jedzenia oraz ważący ponad 3kg wyprawowy namiot. Czas przenieść sudeckie doświadczenia na wyższy poziom.

Przygotowania

Na celownik wzięłem szczyty Lagginhorn i Weissmies. Oba są szczytami technicznie łatwymi, jednocześnie ich wysokość nieznacznie przekracza 4 tys. metrów. Nieśmiało zerkałem też na mapie w stronę Fletschhorna (3993 m), ale pamiętając nauki z poprzednich lat, kiedy to chciałem „więcej i więcej” a na koniec była figa z makiem – tym razem temat 3-go szczytu na trwającym 2 i pół dnia wyjściu w góry odpuściłem.

Niesłusznie.

Kluczem było odchudzenie plecaka. Wziąłem niemal tylko to, co niezbędne, więc zrezygnowałem chociażby z namiotu, zapasowych majtek i skarpetek. Pewnie, że jeszcze kilka drobiazgów można było odrzucić (syczoryk, zapasowe baterie do czołówki, soczewki, zapasowa koszulka), ale zostawiłem sobie potencjał na kolejne akcje. Wejścia na szczyty i tak dokonywane były zupełnie na lekko, a w przypadku potrzeby przemieszczenia się z całym dobytkiem było to przedsięwzięcie znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze.

Sprawdził się po raz kolejny patent z przygotowywaniem porcji jedzeniowych na zasadzie: „to zjem w piątek rano, a to wieczorem, a to w sobotę rano” itd. czyli bez wrzucania jedzenia do plecaka metodą „na czuja”. W rezultacie zniosłem do samochodu jeden kisiel, jedną torebkę herbaty oraz 2 batoniki (te batoniki miały być zjedzone ostatniego dnia, ale kompletnie nie miałem apetytu). Noszenie zbędnego balastu w postaci jedzenia to najczęstszy i najbardziej odczuwalny przez nasze ramiona powtarzany do tej pory błąd. A przecież... z głodu się jeszcze nikt nie zesrał!

Akcja nr 1

Nie zanudzając, by było krótko i słodko: pierwszego dnia po wyjściu z kolejki Saas Grund-Kreuzboden (2400 m) odczekuję chwilę, by dołączył do mnie Maciek (ostatnio wspólnie wędrowaliśmy aż 8 lat temu, podczas [zdobywania najwyższego szczytu Uralu](#)) i ruszamy z całym dobytkiem na górę. Była to godzina 9:30. Na wysokości nieco ponad 3000 metrów zostawiamy część rzeczy i dalej idziemy już tylko z paroma rzeczami w plecaku. Wśród nich picie, czołówka, kurtka, czekan i raki (oprócz picia pozostałe artefakty okazały się niepotrzebne). Na szczycie Lagginhorn o wysokości 4010 m n.p.m. staję o 13:50, zatem od budynku kolejki wejście zajęło 4h20'. To niemal 400mH na godzinę, więc całkiem satysfakcjonująco. Do tego część drogi pokonana z kompletem zabranego bagażu (ze

względu na odchudzony na tym wyjeździe plecak było to zupełnie nieuciążliwe) no i niemal bez przerwy nawijając z Maćkiem na przeróżne tematy (spotkanie z tym [wyjątkowym człowiekiem](#) to był dla mnie hit sezonu).

Ogólnie to styl był w pełni sudecki, czyli taki, jaki miał być. Podczas całego podejścia na szczyt nie odczułem żadnych oznak zmęczenia czy zadyszki. Myślę, że tego dnia mogłem dać z siebie znacznie więcej, ale nie takie były założenia.

Późniejszym popołudniem schodzimy do zdeponowanych pod kamieniem rzeczy i po chwili jesteśmy gotowi do wymarszu pod kolejny 4-tysięcznik. Robimy tu coś niezrozumiałego, gdyż zamiast trawersować zbocze ścieżką i bez utraty wysokości dostać się do celu, my postanawiamy zejść do skrzyżowania na wysokości 2800 m i stamtąd szlakiem po raz kolejny wspinać się na wysokość 3100 metrów. Ewidentnie energia nas rozpierała, byliśmy jak małe dzieci na nowym placu zabaw.

Wieczorem udaję się na spacer odwiedzić naszych kolegów, którzy rozłożyli namiot w pobliżu lodowca. Do naszej bazy noclegowej, jaką okazał się nieco zrujnowany, stary budynek kolejki, wracam dopiero koło godziny 22-giej. Ogólnie czuję się mentalnie tak dobrze, jak nigdy wcześniej w Alpach. Podobno „*kiedy mężczyzna wychodzi w góry, to wraca do domu*„ [John Muir]. Ja tego dnia właśnie tak się czuję.



Bryle na nosie i radosna mina, to Maciek i Dzik – pędzą na Laggina!



Na zachodniej grani
Lagginhorna



Lagginhorn – 4010 m n.p.m.

Akcja nr 2

Po zaledwie paru godzinach snu, koło 3:30 znów wychodzimy w góry. Niepotrzebne podczas ataku szczytowego rzeczy deponujemy przy namiocie kolegów. Na lodowiec wchodzimy koło godz. 4-tej w zespołach: Dziku z Maćkiem oraz Łukasz z Piotrkiem. Już około godziny 7:30 stajemy na szczycie. Droga nie była łatwa, gdyż prowadziła po stromym i mocno poszczelinionym lodowcu. Wysokie temperatury odcisnęły swoje piętno: ścieżka urywała się czasem na zawałonym moście śnieżnym a zaledwie 4 dni przed nami nastąpił tu duży obryw seraków. Bez większych problemów jednak zdobywamy najwyższą górę w tym masywie – Weissmies (4017 m).

O 10-tej jesteśmy już przy namiocie. Maciek zmywa się do miasta i wraca do domu. Piotrek i Andrzej decydują się jeszcze

wyjść na Lagginhorn, a ja z Łukaszem lenimy się niemożebnie. Korzystam z tego, że jest miejsce w namiocie i w bezlitośnie dopiekającym słońcu autentycznie cały dzień leżę (muszę to tu zapisać, bo pewnie kiedyś nie będzie mi się chciało w to uwierzyć).

Podnoszę tyłek dopiero koło 21-wszej. Zabieram cały dobytek i idę się skitrac do mojej tajnej i nielegalnej kryjówki. Już niemal w zupełnych ciemnościach spotykam zmierzających do namiotu Andrzeja i Piotrka. Ten drugi słania się na nogach. Ma prawo, bo pozamiatał system – w niespełna 20h wszedł na dwa 4-tysięczniki, w dodatku podczas swojego pierwszego w życiu wypadu w Alpy. No cóż, można wiele, wystarczy tylko nie wiedzieć, że czegoś tam „nie da się”. Tego dnia wszyscy 3 uczestnicy wycieczki stanęli na swoim pierwszym 4-tysięczniku. Wszystkim im należą się gratulacje.

Krzątam się po okolicy do samej nocy. W tych dniach odczuwam całkowity spokój. Podczas wypadów na szczyty czuję, że wszystko jest pod kontrolą, więc tym bardziej po zejściu z lodowca nie przejmuję się niczym na wyrost. W tym miejscu bardzo dziękuję Asi i Adze za częste podsyłanie prognoz pogody, bo to też powodowało, że nie martwiłem się na zapas.



Bardzo ładne zdjęcie autorstwa Łukasza, a po środku kadru stoi Dzik



Piotrek i Łukasz na
podejściu na Weissmies



Piotrek i Łukasz na grani
Weissmies



Na szczycie Weissmies (4017
m). Od lewej Piotrek,
Maciek, Łukasz i Dzik (z
błyskiem w oku hehe)



Maciek na najbardziej emocjonującym fragmencie podejścia na Weissmies



Lodowiec pod Weissmies, częściowo widoczna ścieżka oraz jedna z grup na lodowcu

Akcja nr 2 i pół

W ostatni dzień wyszliśmy z Łukaszem na wspomniany wcześniej (piękny zresztą) szczyt Fletschhorn. Przeczytane kilku zdań opisu trasy nie wystarczyło by osiągnąć sukces. Tylko 2 zdania przeczytałem ze zrozumieniem tekstu, a pozostałe 2 na odpiernicz. I w ten sposób powyżej 3500 metrów mylę trasę i schodzimy na lodowiec. Idziemy po nim łukiem, docieramy do grani na wysokość ok. 3850 m i tam natrafiamy na wyraźne, głębokie odciski stóp. Co ciekawe, przez całą drogę do tego miejsca widziałem ślady, które w rzeczywistości nie istniały. Tak naprawdę dopiero teraz jesteśmy na właściwej drodze, ale jesteśmy już nieco zmęczeni psychicznie. Trasa była niełatwa z

powodu warunków – brak widoczności, spore nachylenie i oblodzenie, do tego silny wiatr na grani, który może bardzo szybko spowodować odmrożenia na twarzy. Zresztą pierwsze objawy już są po nas widoczne. Wracamy tą samą drogą, którą tu weszliśmy. Opuszczamy niegościnną strefę i wkrótce zasuwamy w pełnym słońcu wśród uroczych alpejskich krajobrazów jak z widokówek.



Przy tych skałkach spękaliśmy. Szczyt był nieco na prawo i dzieliło nas od niego zaledwie 150 metrów w pionie. Ale było to i tak wartościowe i pouczające doświadczenie



Łukasz na zboczach Fletschhorna a w tle miasteczko Saas Fee



Fletschhorn (3993 m n.p.m.)
– jeden z najładniejszych
„prawie czterotysięczników”



Widoczki na drodze
zejściowej do Saas Grund

Ten wyjazd był dokładnie taki, jaki miał być. Fletschhorn już na wstępie zignorowałem i przez to na niego nie wszedłem. Następnym razem podejść do planowania nieco bardziej ambitnie. Chociaż z drugiej strony: 2 i pół dnia w górach i 2 i pół zdobytych szczytów – to chyba niezły wynik.

Dziku

PS. Z ostatniego dnia wynieśliśmy ważną naukę: „Jeśli znosisz z góry przesылkę do WC i zamykasz się w kabinie mentalnie nastawiony na finał za 3 sekundy, to upewnij się, że wcześniej ściągnąłeś uprząż.”

01.06 – Dzień (bez) dziecka



Nasze cienie na Nadelgrat



Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



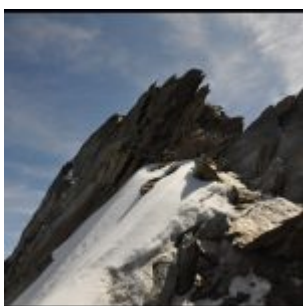
Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłostawa bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Wstęp

O wypadzie w Alpy w pierwszy weekend czerwca myślałem od paru tygodni. Regularnie, czyli 78 razy na dobę sprawdzałem prognozę pogody, która nie napawała optymizmem ze względu na wyjątkowo duże opady śniegu, przynajmniej jak na wiosnę. Jednak na parę dni przed potencjalnym wyjazdem opady ustały i zapowiadała się piękna pogoda. Pozostał jeszcze jeden problem – jak o tym powiedzieć żonie? Zwlekałem do ostatniego dnia przed wyjazdem, kiedy to przy śniadaniu postanowiłem postawić sprawę twardo i po męsku: ze zwieszoną głową i niepewnym

głosem oznajmiłem wtedy, że do wyjazdu namawia mnie Tomek i że tak naprawdę to ja nawet niespecjalnie chcę jechać, no ale wiadomo...

Odpowiedź Agi mnie zaskoczyła, pomimo ukończonych właśnie 10 lat znajomości:

– Jadę z wami!

Dzień pierwszy z dni półtora

Wieczorem w piątek podjeżdżamy pod dom teściów, który szczęśliwie znajduje się w Kotlinie Kłodzkiej (po drodze na Śnieżnik, natomiast Alpy to te następne góry z tyłu). Stukamy w drzwi, zostawiamy dzieci i uciekamy. One się cieszą na przygodę i my również.

Rano dojeżdżamy zgodnie z planem do Lesach. Ubieramy buty i w drogę, aż do pierwszej przeszkody, którą napotkaliśmy po jakichś 15 krokach. Okazuje się, że obryw zbocza uszkodził szlak i trzeba iść „objazdem”, nieco naokoło. Nic nie szkodzi, nie nadkładamy jakoś w ten sposób dużo drogi i po parunastu minutach znów jesteśmy na właściwym szlaku. Niedługo potem znów natrafiamy na niepokojące informacje – szlak zamknięty ze względu na obrywy i lawiny kamienne oraz zwaliska drzew. Nie uśmiecha nam się iść drugim brzegiem rzeki – drogą dłuższą i w dodatku wystawioną na pełne słońce. Ponieważ język niemiecki jest nam znany w ograniczonym stopniu to tłumaczymy sobie tekst w sposób, który nam w tej chwili bardziej odpowiada. Wg naszego tłumaczenia to tam po drugiej stronie są obrywy, a nasz szlak jest OK.

Oczywiście było inaczej i przechodziliśmy pod olbrzymimi konarami lub uprawialiśmy wspinaczkę korzeniową o stopniu trudności co najmniej III.

Szczęśliwie docieramy do polany Lesachalm. Przed nami pięknie prezentuje się Glodis, zaś gdzieś po prawej ukryty jest Hochschober. Oba szczyty są naszymi celami na te półtora dnia.

Żeby nie trzymać w napięciu od razu powiem, że niespecjalnie się nawet do nich zbliżymy.

Zostawiamy bagaż w lesie i ruszamy do góry po zaśnieżonym zboczu. Już pierwszego dnia przemoczymy buty ze względu na zalegające olbrzymie masy mokrego śniegu. To podejście w kierunku Hochschobera potraktuję jako nieudaną próbę jego zdobycia i dopiszę dolisty „[Inwentaryzacja dorobku](#)”, choć miałem tu dylemat, bo szanse były tak małe, że mógłbym z czystym sumieniem potraktować to jedynie jako zwiad.

Obejrzeliśmy sobie ze zbocza potężne lawiniska, ciągnące się kilometrami. Obejrzeliśmy sunące lawiny z przeciwległego stoku, opaliliśmy mordki, zmęczyliśmy się torując w śniegu, a na koniec – weszliśmy na punkt widokowy, oznaczony na mapie jako Kögerl (2386). Ten dzień i tak uważamy za udany. Z czystym sumieniem wracamy do pozostawionego depozytu i szukamy płaskiego miejsca na namiot. Ja czuję jeszcze niedosyt więc idę na 1,5 godzinny marsz w kierunku Glodisa. Rozeznanie kończy się następującymi wnioskami: kocioł pod granią jest dostępny, ale co nas czeka w kotle, to można się domyślić – głęboki śnieg i zsypujące się na nas z otaczających zboczy lawiny. Jednym słowem – samobójstwo.

Dzień drugi, a właściwie połówka dnia

Rano wychodzimy na zbocze leżące po przeciwległej stronie doliny w stosunku do naszych pierwotnych celów. Naszym celem jest Tschadinhorn (3017), który jest szczytem turystycznym, łatwym, ale niekoniecznie po tak dużych opadach śniegu. Momentami wypruwam na podejściu flaki ze względu na zapadanie się i potrzebę torowania. Ale to jest i tak znośne, ponieważ przez część trasy śnieg nas utrzymuje, delikatnie utwardzony temperaturą, jaka panowała w nocy. Docieramy w głębokim śniegu pod sam szczyt, gdzie czeka nas nieprzyjemny trawers i podejście stromym zboczem po lawinisku. Gdyby coś tu pod nami wyjechało to koniec – teren poniżej nie pozostawiał za wiele szans. Jednak czuliśmy się wystarczająco bezpiecznie, by kontynuować wejście. Dopiero pod samym szczytem zapala mi się

pomarańczowa lampka, więc wycofuję się ze żlebu i trawersuję pod skałami. Po przedostaniu się na drugą stronę skał reszta drogi okazała się formalnością. W co najwyżej kilkanaście minut wchodzimy na wierzchołek. Piękna pogoda i piękne widoki. Przed nami Grossglockner, nieco z boku Granatspitzgruppe a jeszcze dalej Grossvenediger. Mnie interesuje Böses Weibl (3119) i grań, jaka go łączy z naszym wierzchołkiem. Wszystko do pokonania, nawet w tych warunkach. Ale umęczylibyśmy się nieziemsko i potrzebowalibyśmy całego dnia. Zatem – wracamy. Wniosek z zejścia – gdybyśmy wyszli niecałą godzinę później to na szczyt byśmy nie weszli ze względu na zapadanie się w śniegu. A wyszliśmy koło 6:30 i to i tak było wg mnie zdecydowanie za późno.

Po zejściu do pozostawionych rzeczy w dolinie pakujemy się i schodzimy do samochodu. Musimy wrócić do dzieci najpóźniej nad ranem, zanim dziadki do pracy wyjdą.

Ogólnie wariactwo – takie, jakie kochamy.

Tekst i zdjęcia: Dziku

PS. Po powrocie chwałę się głośno:

– Treningi dały efekt! Nic mnie nie boli!

– A ja przez ostatnie 4 lata się nie ruszałam i też mnie nic nie boli – odpowiada Aga.

Nie ma to jak podtrzymywanie na duchu i dodawanie pewności siebie przez bliskie ci osoby.

Dzień 3/3 – Trawers



Nasze cienie na Nadelgrat



Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłosława bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Trawers

Wszelkie nocne akcje powodują u mnie odczucie, jakby to było we śnie. Klasycznym dla mnie przykładem była nocna eksploracja Jaskini Czarnej w Tatrach. Do dziś wspominam to jako coś, co równie dobrze mogło mi się przyśnić. I ta przygoda przeczy temu, jakoby mogło chodzić jedynie o brak światła, bo w jaskini jest zawsze tak samo ciemno. Ewidentnie musi tu chodzić o stan umysłu w godzinach nocnych. Na pewno organizm inaczej działa między 0:00 a 4 rano niż w środku dnia.

I tym razem nocny trawers wspominam, jak coś na pograniczu snu i jawy. Spod schronu wyruszyliśmy po godzinie drugiej a nasza droga niemal pokrywała się z letnią ścieżką. Tyle tylko, że teraz ukryta ona była pod głęboką warstwą śniegu. W świetle czołówki (i tu muszę się [przeprzić z siostrami Tikkiny](#)) ciężko było mi ocenić zmieniające przede mną nachylenie stoku. Jednak jako dodatkowa kontrola pomagał na tym etapie Asi telefon z aplikacją zawierającą trasy.

Ten trawers to był inny świat, który znacznie bardziej złowrogo prezentował się pod nami, niż nad nami. Ukształtowanie terenu nie dawało za wielu szans w przypadku potknięcia lub utraty równowagi. A warto napomknąć, że na tym etapie szliśmy z całym dobytkiem, czyli każdy miał na plecach ciężki plecak. Nie pomagała też temperatura, bo śnieg nie był tak zmrożony, na jaki liczyliśmy. O ile jeszcze ja i Asia nie zakopywaliśmy się prawie wcale, to Sławek wyciągając nogi z dołek musiał się okrutnie napocić, żeby za nami nadążyć. Po blisko 3 km dotarliśmy jednak bezpiecznie do zejścia na lodowiec.

Trawers pokonany i nikt nie poleciał, a jak już wspomniałem lot w większości miejsc zakończyłby się zsunięciem i upadkiem z urwiska na lodowiec, bo nachylenie było zbyt duże, by tak po prostu wyhamować czekaniem.

Przełęcz

Szczerwie kończymy trawers i schodzimy na lodowiec. Wiążemy się liną, podchodzimy do wysokości ok. 2800 m n.p.m. i zostawiamy depozyt w postaci dwóch plecaków. Punkt zapisujemy w GPS, na wypadek gdyby mocniej sypnęło śniegiem. Teraz naszym kolejnym celem jest przełęcz Venedigerscharte na wysokości ok. 3400 m. Asia coraz mocniej odczuwa dolegliwości żołądkowe, a to ją mocno osłabia. Pomimo tego w dobrym tempie, praktycznie bez odpoczynku przemy do góry.

Pogoda jest coraz gorsza, zaczyna sypać mokry śnieg. Zgodnie z prognozą nie mamy co dziś liczyć na poprawę pogody. Dlatego mamy umówiony limit czasowy, czyli porę, o której bez względu na wszystko trzeba ruszyć w drogę powrotną. Nie zamierzamy ryzykować utknięciem w górach, w których z godziny na godzinę wzrosnąć może zagrożenie lawinowe. Na tym wyjeździe zresztą z założenia miał być zawsze ustawiony zawór bezpieczeństwa. Jednak nasze koło ratunkowe zużyło się koło wysokości 3000 m n.p.m., kiedy to padł GPS w telefonie. Teraz idziemy momentami na ślepo zdając się tylko na ukształtowanie terenu, a to

ewidentnie wskazuje, że zbliżamy się do przełęczy. Powoli stok się kładzie a nas uderza w twarz huraganowy wiatr. Gdzieś za plecami słyszę zdławiony okrzyk Asi.

Nie mam pojęcia co krzyknęła, ale nie muszę dopytywać. Cokolwiek to nie było, znaczenie mogło mieć tylko jedno: „SPIER...LAAAC!”. Bez słowa odwracam się na pięcie i pędzę na dół. Wejście w tych warunkach na lodowcowe plateau na przełęczy oznaczałoby samobójstwo. Jeśli nie zgubilibyśmy się od razu i nie zamarзли, to wpadlibyśmy do szczeliny, albo polecieli z nawisem na grani, albo najbardziej prawdopodobne: wszystko na raz.

Narzucone tempo, majdająca się lina pod nogami i do tego wszystkiego dolegliwości męczące Asię – to już nie miało w sobie nic z przyjemności. Chciałem jednak jak najszybciej wrócić do plecaków, które mógł zasypać śnieg, a GPS był już do końca wycieczki bezużyteczny. Powiem szczerze, że gdybym był wtedy na miejscu Asi odwiązałbym się od liny i pewnie rozpłakał. A tymczasem ona bez słowa narzekania parła do przodu. Choć wiedziałem to już przed wyjazdem, to znów potwierdziło się, że mam do czynienia z najsilniejszą kobietą i partnerem na najtrudniejsze warunki. W zawierusze gubimy nasze ślady, jednak ukształtowanie terenu sprzyja nawigowaniu bez wsparcia urządzeń. W końcu wychodzimy z zadymki i w oddali widzimy na lodowcu nasze plecaki.

Marsz

Lodowcem schodzimy do zamrzniętych jezior, tym samym opuszczając teren wysokogórski. Przed nami 15 km marszu doliną z gospodą Postalm w 1/3 drogi. Tam spożyjemy zupełną regeneracyjną i kubek herbaty z cukrem, a to nas postawi na nogi. Zanim jednak tam dotrzemy z pobliskich urwisk przed nami obsypią się dwie lawiny lodowe. Stresuje mnie to mocno, gdyż lodowe bryły przelatując w poprzek szlaku nie dają żadnych szans. Widzę świeżo ułupane drzewo, które oberwało bryłką wielkości piłki lekarskiej. Niemal przebiegam odcinki usłane

takimi lawinkami, wymijając lodowe fragmenty o rozmiarach od pięści do pralki. Tymczasem Sławek drepta jakby nigdy nic i humor go nie opuszcza. Ależ mi się ekipa trafiła nie do zajechania!

Popołudniu docieramy do auta, przebieramy się i natychmiast ruszamy do Polski. Sławek prowadzi przez większość drogi tak, jakby przez ostatnie kilka dni wypoczywał.

Od pobudki w schronie do momentu, kiedy znów położymy się w łóżkach minie 27 godzin. Prawdziwy maraton. Ale... zgodnie z założeniami: wszystko było pod kontrolą, a szczyty były tylko dodatkiem.

tekst: **Dziku**

PS. Gdyby tego dnia dopisała pogoda, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że zdobylibyśmy Grossvenedigera (3666 m). Byłaby to wisienka na torcie, którego udeptaliśmy naszymi stopami przechodząc po śniegu około 60 km w zaledwie 3 dni.

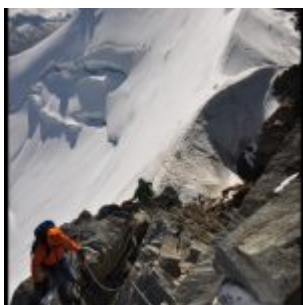


Nasza zimowa ekipa

Dzień 2/3 – Keeskogel



Nasze cienie na Nadelgrat



Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłosława bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Kees – termin ten jest używany w niektórych obszarach Tyrolu jako określenie lodowca i pozostałości po nim (morena). Pojawia się on w nazwach w rejonie Wysokich Taurów oraz Alp Zillertalskich. Zaś w zachodnim Tyrolu odpowiednikiem słowa Kees jest Ferner.

Po wysiłku z [dnia poprzedniego](#) dziś postanawiamy nieco odpuścić. Rano „składamy” biwak i ruszamy do schronu. W środku nikogo nie zastajemy, ale od razu widać, że tej nocy był tu niezły młyn. Jeden z mijanych narciarzy potwierdził, że spało dziś w nim jakieś 25 osób, podczas gdy miejsc jest tylko 14.

Tym bardziej cieszymy się na naszą przeżyta przygodę z jamą śnieżną.

Po odpoczynku wybieramy się na pobliski szczyt – Keeskogel. Ponieważ jest to środek dnia, słońce operuje niemiłosiernie. Śnieg jest jednak na tyle osiadły, że nie zakopujemy się jakoś bardzo. Dostyc szybko wchodzimy na skalny grzbiet, gdzie po dużych kamieniach łatwo zdobywamy wysokość i osiągamy wierzchołek. Z wysokości 3291 m n.p.m. rozlega się wokół piękna panorama. Spoglądam na szczyty, na których miałem okazję już się kiedyś znaleźć: [Muntanitz](#), [Grossglockner](#), [Wiesbachhorn](#)...

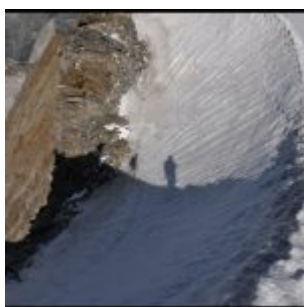
Na szczycie spędzamy blisko godzinę. Aż trudno uwierzyć, że to jest marzec. Prawie nie czuć wiatru i jest bardzo ciepło. Na tej wysokości nawet latem taka pogoda to marzenie. Jest to też jedyne miejsce, gdzie łapiemy zasięg komórkowy. Jedyne od momentu, kiedy weszliśmy w dolinę, na teren parku. Wykorzystujemy ten moment, żeby dać znać rodzinie, że jesteśmy cali i zdrowi. Dodatkowo odbieramy prognozy pogody przesłane przez przyjaciół z Polski. Jeśli o tym mowa to nie wygląda to optymistycznie. Po wpisaniu się do książki wejść oraz po zrobieniu serii zdjęć zaczynamy schodzić do schronu. Wkrótce po do tarciu do niego wchodzi czwórka Czechów. Są bardzo mili, tłumaczą jaką trasę wchodzili dziś na nartach na Grossvenediger. To będzie nasz jutrzejszy cel. Już ustaliliśmy, że trzeba się położyć bardzo wcześnie i budziki nastawiamy na 1-wszą w nocy. O 2-giej, jeśli pogoda pozwoli, ruszymy z plecakami na trawers, by nad ranem dotrzeć w górne partie lodowca Obersulzbach Kees, wejść na przełęcz, zdobyć szczyt i uciec w dolinę przed załamaniem pogody i zagrożeniem lawinowym.

Ach, no i jeszcze kolejna klątwa rybna nas czeka. Ale to w [opisie dnia trzeciego](#), kiedy to jedno z nas poczuje efekty zjedzenia pysznego podwieczorka.

tekst: **Dziku**

Dzień 1/3 – Śledzik po alpejsku

Sunę powoli w głębokim śniegu pod górę. Co kilkanaście kroków sięgam po garść śniegu i z ulgą topię go w ustach. I znów przechodzę kawałek. Byle do tego wzniesienia nade mną, tam gdzie ludzi jeszcze przed chwilą widziałem. Od dłuższego czasu byłem sam jak palec i trochę dziwnie mi się zrobiło. Lubię być w górach sam, ale inaczej jest kiedy jest to planowane a inaczej, kiedy się swoją drużynę z własnej winy zgubiło. Dlatego teraz chcę dojść do tej śnieżnej kopuły, chociaż nikogo już na niej nie widzę. Czuję, że to będzie mój limit na dziś, że docierając tam dotrę jednocześnie w pobliże swojej granicy wytrzymałości. Granicę tę chyba sobie nieco na własne życzenie przybliżyłem, ale o tym, jak niemal zdobyłem nominację do nagrody Darwina dojdę za chwilę.



Nasze cienie na Nadelgrat



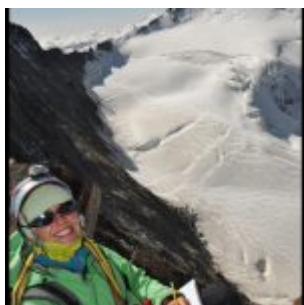
Podejście na Stecknadelhorn od strony Nadelhorna



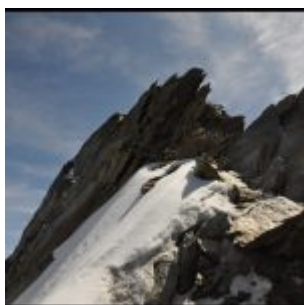
Ekipa na szczycie



Imponujący Dom (4545 m). Na ledwo widocznej na zdjęciu ścieżce zespoły wspinaczy wyglądają jak kropeczki.



Zatem kupisz tak: 2 pomidory, natkę pietruszki, seler i makaron nitki. Acha, i jeszcze Miłostawa bezalkoholowego w butelce. Tylko nie rozbij po drodze.



Spojrzenie na krzyż na Stecknadelhorn od strony Hohberghorn.



W tle za Tomkiem w „naszej” grani widoczny wierzchołek Hohberghorn (4219 m)



Dziku na grani, w tle Weisshorn (4505 m)



Aga na grani, w tle Nadelhorn



To ten etap w życiu, kiedy na szlaku zamiast Marylina Mansona w głowie przewijają się czytanki z Reksia

Z Asią i Sławkiem rozjechałem się przy mostku, dokładnie po 15 km marszu doliną Obersulzbachtal. Nosiło mnie i czułem się na tyle mocny, że wydarłem do przodu bez odpoczynku z myślą, że zajmę miejsce w schronie. Kiedy wchodziłem na tzw. Kees (obszar zajmowany przez lodowiec i jego pozostałości), moi towarzysze byli małymi kropeczkami na tafli zamrożonego jeziora. Do tego momentu miałem z nimi kontakt wzrokowy, ale teraz skręciłem za skały i sunę stromo pod górę. Dopiero teraz czuję, jak opuszczają mnie siły, gdyż od dłuższego czasu nie mam już nic do picia. Torując w śniegu coraz bardziej się w nim zakopuję i coraz wolniej idę. Wreszcie zrzucam plecak i siadam. Dotarłem do punktu, gdzie nie mam już co spalać i w tej chwili muszę coś zjeść. A ponieważ mam dość słodkiego to przypominam sobie o... śledziu w śmietanie. Ze śledziem historia była taka, że w piątek przed wyjściem z domu zerknąłem na datę ważności i okazało się, że jest do niedzieli. Żeby bilans wyszedł na zero to wyjąłem wtedy z plecaka czekoladę a upchnąłem pudełko śledzi. Dziś sobota, dzień przed terminem, więc to znakomity czas by się z nim rozprawić. Ukroiłem sobie dwie kromeczki i nawet masełkiem posmarowałem, wyjąłem sporka i paroma machnięciami wyczyściłem pudełko zagryzając chlebem. Przy drugiej kromce zacząłem się dusić. Ilość soli w tej rybnej porcji spowodowała taką suchość w ustach, że nie byłem w stanie przełknąć nawet okruchów. Ratunkiem był śnieg, który zacząłem wpychać do ust garściami.

Kiedy doszedłem do siebie, założyłem plecak i ruszyłem w głębokim śniegu pod górę. Choć przed chwilą mało mnie filet nie zabił, to właściwie czuję się bezpiecznie. Mam ze sobą sprzęt biwakowy więc mógłbym się tu i teraz położyć i do rana nie wstawać. Nie wiem tylko jak zniosę męczące mnie pragnienie, bo sprzęt do gotowania i topienia śniegu niesie Asia.

Droga musiała ewidentnie inaczej prowadzić, więc już nie liczę, że mnie moja ekipa dogoni. W najgorszym wypadku oni zabiwają osobno, ja osobno a jutro spotkamy się np. w schronie. Szkoda tylko, że zasięgu nie ma, można by się było

wzajemnie uspokoić przed nocą, że wszystko właściwie jest okej.

Dowlokłem się do kopułki na wysokości 2400 metrów. Ściągam plecak i wiem, że go już dziś nie założę. Z drugiej strony wzgórza pojawiają się narciarze. Dowiaduję się, że wszyscy oni zamierzają nocować w schronie i że niestety nikt z nich nie widział moich towarzyszy. Szybko oddalają się i od tej pory wokół mnie panuje niezwykła cisza, przepełniona słońcem i zapachem śniegu, czyli taka, jaką kojarzę jedynie z popołudniowym słońcem na rozgrzanym, rozmiękłym lodowcu. Wdrapuję się na skałę, siadam i na dłuższą chwilę zamykam oczy. Natychmiast ciało i dusza mi się uspokajają i staje się dla mnie oczywiste, że nie spędzę tej nocy samemu.

Zeskakuję ze skały i idę wzdłuż wzgórza wypatrując przyjaciół. Jeśli narciarze ich nie mijali tzn. że pewnie idą od drugiej strony, podobnie jak ja przyszedłem. I nie mylę się, gdyż szybko dostrzegam nieruchome punkty. Czekam do momentu jak zaczną się posuwać i wiem już, że to „moi”. Schodzę na przełaj, najkrótszą drogą, żeby się z nimi spotkać. Ze szczęścia chcę zabrać od Asi plecak ale odmawia – chce go donieść sama do końca. Wspólnie podchodzimy pod kamień, gdzie zostawiłem swój plecak. Proponuję, żeby spędzić tu noc, mając na uwadze zmęczenie i ilość narciarzy, jaka szła w kierunku schronu Kürsingerhütte. Propozycja zostaje przyjęta.

Z zawrotami głowy zaczynam kopać jamę śnieżną, ale szybko opadam z sił. W tym, nazwijmy to „krytycznym” momencie zaczynamy działać jak zgrana ekipa: Asia rozkłada garnki i topi śnieg, Sławek kładzie się na śniegu i dłubie łopata. Kiedy potrzebuje odpoczynku, to wtedy ja wybieram śnieg i potem znowu – Sławek kruszy ścianki, a ja wybieram. W międzyczasie Asia podaj nam kubki z wodą i jedzenie. Dzięki tak sprawnej akcji mamy sporych rozmiarów podkop, w którym mieści się Sławek i Asia. Ja zamykam swoim ciałem szerokie wyjście jamy mając wciąż nad sobą rozgwieżdżone niebo. Moi towarzysze musieli się już nieco zregenerować, bo snują plany

na jutro. Ja już nie odpowiadam, wyczerpany zasypiam.

Biwak w jamie – wydaje się być pójściem po najmniejszej linii oporu. No bo skoro np. nie mamy już siły iść, to czask prask i śpimy w jamie. To ryzykowne podejście, zważywszy ile należy włożyć wysiłku w przygotowanie takiego noclegu. Szczególnie, kiedy pogoda nie pozwala na pójście na łatwiznę i po prostu położenie się na śniegu albo w jakimś zagłębieniu. Wystarczą minimalne opady śniegu albo wiatr i porządna jama może okazać się zbawienna. Wykopanie jej jednak może wymagać nawet paru godzin ciężkiej pracy. Często takie przedsięwzięcie kończy się w najlepszym wypadku mokrymi rękawiczkami, śniegiem za kołnierzem i w spodniach. Pamiętajcie, by na taką akcję zachować siły. Większa liczba ludzi („siły roboczej”) wcale nie musi być tutaj ułatwieniem – im więcej osób, tym potrzeba więcej miejsca.

Budzę się o 1 w nocy i wydaje mi się, że jest dzień. Księżyc z taką siłą oświetla okolicę, że nie mogę się powstrzymać, by nie poświęcić godziny snu dla kilku nocnych zdjęć. Nie jest to duży problem, gdyż noc jest ciepła i bezwietrzna. Do zbudowania statywu wykorzystuję zamrożone kawałki śniegu, więc mróz był na pewno, ale nie sądzę by był on większy niż te kilka stopni poniżej zera. Kiedy po zrobieniu zdjęć kładę się do śpiwora niemal natychmiast zasypiam.

Ranek wita nas piękną pogodą. Zapraszam do [opisu dnia drugiego](#).

tekst: **Dziku**